Przed premierą „Miłości do trzech pomarańczy”. Wywiad z Michałem Znanieckim.

Zapraszamy Państwa do przeczytania wywiadu z Michałem Znanieckim, który dla naszego teatru przygotowuje spektakl „Miłość do trzech pomarańczy”. Rozmowę z twórcą przeprowadziła Justyna Nowicka, redaktor Radia Kraków.

Justyna Nowicka: Ten tytuł - „Miłość do trzech pomarańczy” zna chyba każdy meloman. Aż trudno uwierzyć, że polskie prawykonanie tej opery odbywa się prawie sto lat po jej prapremierze w 1922 roku w Chicago.

Michał Znaniecki: *Rzeczywiście trudno to zrozumieć. Ja z tym utworem zetknąłem się już na studiach we Włoszech, podczas pracy nad Gozzim i komedią dell'arte. I od razu ta opera mnie zauroczyła. Wtedy też uświadomiłem sobie, jak zjawisko teatru włoskiego było ważne dla Rosjan, dla teatralnych eksperymentów Meyerholda, czy Eisensteina. Potwierdziło się to także podczas mojej współpracy z Giergijewem w Teatrze Maryjskim. W repertuarze Giergijewa „Miłość do trzech pomarańczy” była pozycją sztandarową. Byłem naprawdę zdziwiony, kiedy okazało się, że w Polsce jest to dzieło mało popularne i rzadko wykonywane.*

JN: Ale Pan się uparł i postanowił wprowadzić „Miłość do trzech pomarańczy” do Polski, choć nie było to proste.

MZ: *Podstawowa trudność tkwi w bogactwie i różnorodności ról w tej operze. Zazwyczaj jest tak, że w każdym zespole operowym znajdziemy co najmniej jeden dobry, podstawowy skład: baryton, tenor, sopran, mezzosopran. Ale w „Miłości do trzech pomarańczy” to nie wystarczy. Tutaj potrzeba na przykład kilku bardzo dobrych basów. Każda mała rólka jest wręcz karkołomna wokalnie, a dramaturgiczne komplikacje sprawiają, że właściwie żaden śpiewak nie może zaśpiewać w jednym przedstawieniu kilku różnych postaci. Przyznam się, że „Miłość do trzech pomarańczy” proponowałem w wielu teatrach, od Barcelony po Warszawę. Na początku zawsze był ogromny entuzjazm, potem znaczące milczenie, wreszcie rezygnacja. Naprawdę bardzo trudno zgromadzić w jednym miejscu aż tylu znakomitych śpiewaków. Dlatego ogromnie się cieszę, że w Krakowie dochodzi do tej realizacji.*

JN: Mówimy o trudnościach technicznych, ale przecież „Miłość do trzech pomarańczy” jest operą skomplikowaną na wielu płaszczyznach. Poczynając od tego, że znaczenie ma tutaj każda, nawet epizodyczna postać.

MZ: *I dlatego pracę nad tą operą rozpocząłem już 2 lata temu. Ten tytuł to ogromne wyzwanie dla reżysera, libretto i muzyka Prokofiewa są bowiem przykładem prawdziwego teatru operowego. Dramaturgia muzyczna Verdiego czy Rossiniego wydaje się, w porównaniu, wręcz utworem na strażacką orkiestrę dętą. Wiem, że używam mocnych słów. I nie zawaham się nazwać Prokofiewa geniuszem opery. Nie wiem, czym się narkotyzował pisząc ten utwór (śmiech), ale ta opera jest prawdziwą doskonałością – wszystko jest na swoim miejscu. Każda pauza, każdy dźwięk, każde słowo. Dla reżysera to wyzwanie, ale i nadzwyczajna frajda – Prokofiew to kompozytor, któremu można zaufać w całości.*

JN: Są jednak momenty, kiedy reżyser musi podejmować własne decyzje, choćby wybierając konwencję. Utwór Gozziego, podstawa libretta, to baśń. Ale już opera Prokofiewa zawiera elementy surrealistycznej farsy, symbolicznej groteski, parodystycznej zabawy.

MZ: *Oczywiście nie można zapominać, że „Miłość do trzech pomarańczy” to wielka zabawa cytatami. Notabene tę grę rozpoczął sam Gozzi, bawiąc się konwencją komedii dell'arte. Prokofiew z kolei żonglował cytatami muzycznymi z Mozarta czy Wagnera, tak jak ten ostatni wprowadzając na przykład wątek wędrujących przedmiotów. Co ciekawe, postaci z komedii dell'arte widzimy w tej operze nie tyle w wersji źródłowej, klasycznie włoskiej, ile oglądane z perspektywy twórców rosyjskich i teatru rosyjskiego. „Miłość do trzech pomarańczy” Prokofiewa nie jest opowieścią dla dzieci. To typowa bajka dla dorosłych: metafora naszej inicjacji i rozczarowania życiem dorosłym. Pisząc tę operę Prokofiew nie mógł przewidzieć cierpień, cenzury i upokorzeń, których doświadczy w Związku Radzieckim, po powrocie z Ameryki. Ale nie jest wykluczone, że właśnie w tym utworze jakoś je przeczuł.*

JN: Wykorzystuje Pan tę historyczną wiedzę w swojej inscenizacji?

MZ: *Tak, ta historyczno-polityczna perspektywa jest ważna dla krakowskiego spektaklu. Nie wszyscy wiedzą, że upokorzony Prokofiew zmarł dokładnie tego samego dnia co Stalin. Nawiążemy do tego tworząc kontekst systemu politycznego. Nadmiar cytatów może być jednak problemem w inscenizacji. Grozi to niespójnością, na którą jako reżyser nie mogłem pozwolić. Zależało mi nie tyle na udowodnieniu reżyserskiej erudycji, ile na zaproponowaniu takiej koncepcji, która połączy wszystkie te nieco odległe od siebie wątki.*

JN: I dlatego na kilka tygodni przed premierą teatralny Kraków huczy od opowieści o domu starców, do którego przeniósł Pan bohaterów baśni…

MZ: *No tak, trochę przewrotnie. Ale nie przypadkowo. Od kilku lat uczestniczę w projektach, których głównymi bohaterami są wykluczeni: seniorzy w domach opieki, ludzie chorzy, upośledzeni, a także, jak we Włoszech więźniowie. Wielki projekt z udziałem wykluczonych przygotowuję w ramach programu Europejskiej Stolicy Kultury Wrocław 2016. Mam tam do czynienia z naprawdę niezwykłymi osobami, seniorami po 80-tce, ludźmi po udarach, niepełnosprawnymi ruchowo, często okaleczonymi psychicznie, opuszczonymi. I okazuje się, że te wszystkie ograniczenia, często naturalne w ich wieku, wcale nie muszą być blokadą w pracy teatralnej! Ten projekt głęboko, emocjonalnie mnie zaangażował. Co istotne dla koncepcji „Miłości do trzech pomarańczy", przebywając na co dzień z seniorami, nauczyłem się żartować z nimi, a nawet z nich... Udało nam się wspólnie wypracować dystans wobec tych wszystkich ograniczeń, a nawet się z nich śmiać. To był klucz do „Miłości do trzech pomarańczy".*

JN: Musiał Pan naprawdę zdobyć ich zaufanie.

MZ: *To był warunek. Jak wiadomo pierwsza scena tej opery to wielka, dość gwałtowna i groteskowa debata pomiędzy zwolennikami różnych konwencji w sztuce, od sztuki wysokiej po farsę. W Krakowie rzecz rozegra się w domu starców, gdzie pensjonariusze, pokazani dość parodystycznie (zapewniam Państwa, że można mieć zdrowy dystans do sparaliżowanej ręki), spotykają się w świetlicy przed telewizorem. Gwałtowna, ale i rzeczowa dyskusja o wyborze kanału, czy audycji, którą zamierzają oglądać, jest całkiem realna w takiej sytuacji, prawda? W końcu pensjonariusze dochodzą do porozumienia – nie będziemy oglądać telewizji, zrobimy własne przedstawienie, zmuszając do zabawy także personel. Taki punkt wyjścia pozwala nam na pokazanie wieloplanowości opery Prokofiewa, gdzie bogactwo i różnorodność konwencji jest ogromne. Ordynator szpitala, zaproszony do odegrania roli Króla, w każdej chwili może z roli wyjść i wrócić do zadań lekarza. To nieomal klasyczny, brechtowski efekt wyobcowania, V-efekt, którego Prokofiew się nie bał. A kontekst telewizji pozwala nam przywoływać różne, często bardzo nieoczywiste cytaty, także ze świata sowieckiej Rosji. Ja też pozwoliłem sobie na cytat, jak w "Tangu" Mrożka nasza inscenizacja kończy się triumfem miernot: Klarysy, Leandra czy Kucharki.*

JN: Lenin miał ponoć powiedzieć, że będzie kiedyś mogła władać państwem radzieckim.

MZ: No właśnie. To postać bardzo typowa dla tej opery, w połowie tragiczna, w połowie komiczna. W sowieckiej Rosji epoki Prokofiewa cała rzeczywistość była przecież tragikomiczna. A nasza Kucharka w połowie jest wulgarną kuchtą, a w połowie Stalinem.

JN: Powstaje więc opowieść mocno polityczna, co nie jest bardzo typowe dla teatru Michała Znanieckiego. Nie szkoda trochę tych bajkowych, ludycznych efektów, które także przecież zawarte są w operze Prokofiewa?

MZ: *Ale my nie rezygnujemy z nich! Będzie bajka, będą wspaniałe, spektakularne efekty, fantastyczne projekcje. A jednocześnie nawiązanie do radzieckiej Rosji pozwala nam wprowadzić na scenę motyw artysty – zamkniętego, ocenzurowanego, pozbawionego możliwości wypowiedzi. To przecież historia sponiewierania i zniszczenia przez system samego Prokofiewa. I „Miłość do trzech pomarańczy" staje się czymś więcej niż uroczą bajeczką.*

JN: A współczesne znaczenia tej opery, można je odnaleźć?

MZ: *Oczywiście. Można odczytać „Miłość do trzech pomarańczy" jako opowieść o współczesnym teatrze, o jego dylematach. Czy pokazywać łatwe i przyjemne farsy, które zapewnią pełne sale, czy proponować trudniejsze spektakle i głębsze emocje, które nie zawsze będą przyciągały publiczność, poszukującą głównie dobrej zabawy? Ale ja przede wszystkim czuję się uczniem Umberta Eco i jego teorii „dzieła otwartego". Nie chciałbym, jeszcze przed premierą, sugerować publiczności, co ma sądzić o tym spektaklu, jak go rozumieć. Eco zawsze podkreślał, że dzieło powstaje dopiero w widzu, podczas spektaklu. Mój widz jest wolny ale musi być otwarty na współdziałanie z artystami nie tylko na scenie ale i na widowni, a nawet w orkiestronie idąc w ślad za dekonstrukcją klasycznego teatru operowego, której szukał Prokofiew.*



Michał Znaniecki, ur. 1969 r., reżyser operowy i teatralny, twórca ponad 100 spektakli. Pracuje głównie w teatrach Włoch, Hiszpanii i Ameryki Płd. Aktualnie w Operze Krakowskiej rozpoczął próby do „Miłości do trzech pomarańczy" Prokofiewa. Premiera 25 kwietnia.

Urok pomarańczy

MICHAŁ ZNANIECKI | Reżyser o tym, co wystawi w Krakowie i na Pustyni Judejskiej.

W: Co skłoniło pana do powrotu do Krakowa?

MICHAŁ ZNANIECKI: W Operze Krakowskiej mam bezpieczny i poważny dom. Ciągle zmieniająca się sytuacja w naszych teatrach powodowała, że nie byłem się w stanie dostosować do otrzymywanych propozycji. Ktoś, kto jest na stałe w Polsce, może lepiej pilnować swoich interesów. Z Krakowem mam trwałe związki, systematycznie mogę przygotowywać tu premierę. Teraz pracujemy nad „Miłością do trzech pomarańczy" Sergiusza Prokofiewa.

Ale „Eugeniusz Oniegin" niezbyt się w Krakowie spodobał. Za to ta inscenizacja w Teatro San Carlo w Neapolu niedawno odniosła sukces.

Bałem się tej premiery, tymczasem bilety wyprzedano, recenzje były pozytywne i analityczne, co sprawiło mi szczególną frajdę. W dzisiejszych mediach jest coraz mniej miejsca na zagłębianie się w materię operowego spektaklu. Neapolitańczycy są żywi w swych reakcjach – jeśli reżyser potrafi ich przekonać, ma ich za sobą. Cieszę się, że odczytali też w moim spektaklu odniesienia do Giorgia Strehlera, na którego inscenizacjach uczyłem się teatru.

Pomysł na „Miłość do trzech pomarańczy" w Krakowie wyszedł od pana? Żaden polski teatr nie wystawił dotychczas tej opery.

Miałem kiedyś robić spektakl w Teatrze Maryjskim w Petersburgu i pojechałem na rozmowy. Akurat grali „Miłość do trzech pomarańczy". Obejrzałem i się zachwyciłem. Wiedziałem oczywiście przedtem, że są w tej operze związki z włoską komedią dell'arte, ale dostrzegłem w niej znacznie więcej ciekawych wątków i tropów. Zacząłem namawiać dyrektorów w Polsce na „Miłość do trzech pomarańczy". Każdy przyjmował propozycję entuzjastycznie do momentu, aż się zorientował, że potrzeba tu 20 solistów, w tym kilku dobrych basów oraz tenorów.

Co pana w tym utworze pociąga?

Niesamowita teatralność. W muzyce są rozmaite cytaty, na przykład motywy wagnerowskie. Jest teatr w teatrze, a każda postać ma własny mikrokosmos. Jeśli to wszystko potrafi się odczytać, można się świetnie bawić. Największym problemem reżysera jest natomiast, by spektakl zachował spójność, nie zamienił się w zbiór zabawnych numerów.

Następną premierą ma być „Traviata", w czerwcu wyreżyseruje ją pan na Pustyni Judejskiej pod starożytną twierdzą żydowską Masada.

To największy show świata, jak reklamowane są przedstawienia na festiwalu Masada. Spektakle ogląda tam ponad 10 tysięcy ludzi, „Traviata" będzie pokazana sześć razy, co daje gigantyczną widownię. Rok temu miałem wystawiać „Turandot" Pucciniego, ale napięta sytuacja polityczna zmusiła organizatorów do odwołania imprezy. Może zrobię ją za dwa lata, bo za rok mam wystawić „Carmina Burana".

„Traviata" na pustyni to pomysł karkołomny...

To prawda, ale jej bohaterka pisze w liście, że Paryż to pustynia, co stanowiło dla mnie punkt wyjścia. Oczywiście muszę się liczyć z rozmaitymi ograniczeniami, Masada to góra o znaczeniu symbolicznym, wręcz świętym, dla mieszkańców Izraela. Uprzedzono mnie, że nie mogę jej przysłonić. Pustynny piasek przysypie natomiast Paryż, wystawać będą fragmenty wieży Eiffla czy Notre Dame, jakby świat uległ katastrofie. Mam nadzieję, że uda się widzom przekazać głębszą myśl, a nie tylko zrobić show z fajerwerkami, choć te będą.

Pan lubi aneksować dla teatru rozmaite nietypowe miejsca.

Niedawno na placu w Hawanie zrobiłem „Mandragorę" Karola Szymanowskiego. Postanowiłem wykorzystać fakt, że na Kubie pękają różne zakazy. Operę uznawano tam za sztukę zgniłego Zachodu, teraz zaczyna się powoli odradzać. Chciałbym w Hawanie wystawić „Króla Rogera"; zrobiliśmy przesłuchania dla solistów, śpiewacy teraz uczą się swoich partii, dla nich zorganizujemy warsztaty, powstał też chór. Może za rok dojdzie do premiery.

Skąd to przywiązanie do „Króla Rogera"?

To najważniejsza polska opera, traktująca o sprawach uniwersalnych. Jeśli dostrzegam cień zainteresowania nią, natychmiast staram się ją wprowadzić na scenę. Wiele spotkań zaczynam od zaprezentowania rozmówcom fragmentów nagrań. Kiedy słyszą muzykę, z reguły są za. Mam nadzieję, że doprowadzę też do premiery w Sao Paulo, dla mnie ważna będzie też przyszłoroczna premiera w Krakowie.

Jeśli musi pan odpocząć od opery, co pan robi?

Przedstawienie teatralne. Zrealizowałem w ubiegłym roku spektakl inspirowany „Kronosem" Gombrowicza. Taka praca pozwala na ogromne skupienie, nie trzeba myśleć o masie innych rzeczy niezbędnych w operowej inscenizacji. W tym roku „Kronos" będzie grany w Montevideo oraz w Buenos Aires na Kongresie Gombrowiczowskim. A w grudniu „Trubadurem" Verdiego otwieram sezon w Teatro San Carlo w Neapolu.

—rozmawiał Jacek Marczyński

RZECZPOSPOLITA nr 89

16-04-2014

e-teatr·pl

17.04.2014

Kraków. Polska prapremiera "Miłości do trzech pomarańczy"

25 kwietnia na scenie Opery, po raz pierwszy w Polsce, odbędzie się premiera "Miłości do trzech pomarańczy" Siergieja Prokofiewa.

Realizatorami spektaklu są wybitni i znani artyści: Michał Znaniecki (reżyseria i kostiumy), Tomasz Tokarczyk (kierownictwo muzyczne), Luigi Scoglio (scenografia), Katarzyna Aleksander-Kmieć (choreografia).

Następca tronu, syn Króla Treflowego cierpi na melancholię. Uleczyć go może tylko śmiech. Mimo dworskich intryg, walk o władzę i wpływy Książę uwalnia się od choroby i rusza w podróż, by odnaleźć miłość, zaklętą w pomarańczy. Prokofiew, opierając swoją operę na bajce Carla Gozziego pokazał świat magii i czarów z dużą dozą dystansu. Stworzył utwór wielowarstwowy, balansujący między surrealistyczną farsą, groteskowym humorem i parodią. Żywą akcję zespolił z misterną tkanką orkiestrową wykazując wyjątkową inwencję i własny, niepowtarzalny styl.

Michał Znaniecki umieszcza akcję w moskiewskim domu dla seniorów. Ponieważ psuje się telewizor, lekarze postanawiają zainscenizować bajkę "Miłość do trzech pomarańczy". Urokliwie absurdalna opowieść zmienia się w pełną metafor satyrę polityczną.

Premiera "Miłości do trzech pomarańczy" odbyła się w 1921 roku w Lyric Opera w Chicago. Utwór wraca regularnie na sceny, wystawiany przez wybitnych realizatorów m.in. Giorgio Strehlera w La Scali (1975, dyr. Claudio Abbado) czy Jurija Lubimowa w Monachium (1991). W repertuarze polskich teatrów muzycznych pojawia się po raz pierwszy.

W obsadzie plejada znakomitych śpiewaków, m.in. Wojciech Gierlach i Wojciech Śmiłek, występujących dziś na czołowych scenach operowych Europy.

***

Premiera: 25 kwietnia 2014 r.

Kolejne spektakle: 26, 29, 30 kwietnia oraz 4 lipca 2014 r.

Bilety do nabycia w Kasie Opery w cenie 28-120 zł.

Opera Krakowska

ul. Lubicz 48, 31-512

Rezerwacja: 12 296 62 62 (63)

Kasa Opery: 12 296 62 60 (61)

Źródło:

Materiał nadesłany

Mateiał nadesłany

Data:

17.04.2014

e-teatr·pl

23.04.2014

Kraków. "Miłość do trzech pomarańczy" już w piątek

25 kwietnia Opera Krakowska zaprasza na premierę "Miłości do trzech pomarańczy" Sergiusza Prokofiewa w reżyserii Michała Znanieckiego.

Jesteśmy w trakcie realizacji dzieła, które jest trudne, bo zostało napisane jako swego rodzaju eksperyment. Dla mnie jako reżysera największym wyzwaniem było znalezienie kontekstu - wspólnego mianownika, który połączyłby wiele wątków poruszanych w "Miłości do trzech pomarańczy". Stąd pomysł na osadzenie akcji w domu pomocy społecznej, czyli w domu starców. To opera pełna niespodzianek. - powiedział podczas konferencji prasowej Michał Znaniecki, reżyser i autor kostiumów.

Z tym tytułem spotkałem się po raz pierwszy kilka lat temu i od razu mnie zafascynował. Cieszę się, że realizujemy go właśnie w Krakowie. Wszystkie zespoły - orkiestra, chór, balet i soliści - bardzo ciężko pracują i od początku podeszły bardzo pozytywnie do tego utworu. - zdradził Tomasz Tokarczyk, dyrygent i kierownik muzyczny.

Rola chóru jest bardzo znacząca w tej operze. Kompozytor postawił przed nami bardzo trudne zadania. - powiedział Zygmunt Magiera (przygotowanie chóru).

Jestem szczęśliwy, że po wielu latach nieobecności mogę wystąpić na krakowskiej scenie. Zespół realizatorów jest bardzo profesjonalny i praca nad tym tytułem daje mi bardzo dużo radości.
- powiedział Wojtek Śmiłek (Celio)

Chwała realizatorom, że ten utwór w końcu trafia na polską scenę. To wspaniała intelektualna rozrywka dla melomanów. - zdradził Wojtek Gierlach (Król Treflowy).

Źródło:
Materiał własny

Materiał nadesłany

Data:
23.04.2014

WYJĄTKOWA PREMIERA W OPERZE KRAKOWSKIEJ

Miłość do trzech pomarańczy

MATEUSZ BORKOWSKI
mateusz.borkowski@krakow.agora.pl

Aż nie chce się wierzyć, ale dopiero w piątek po raz pierwszy w Polsce w Operze Krakowskiej zobaczymy inscenizację opery „Miłość do trzech pomarańczy" Siergieja Prokofiewa. Za reżyserię i kostiumy odpowiada Michał Znaniecki.

To już trzecia realizacja Znanieckiego w Operze Krakowskiej, po „Don Giovannim" z 2009 roku i „Eugeniuszu Onieginie" z 2011 roku, będącym koprodukcją z Teatrem Wielkim w Poznaniu, ABAO w Bilbao i Teatro Argentino la Plata, za którą otrzymał nagrodę Premios Liricos Teatro Campoamor dla najlepszej produkcji premierowej roku w Hiszpanii. Przypomnijmy, że Znaniecki zadebiutował w mediolańskiej La Scali w wieku 24 lat i był najmłodszym w historii reżyserem debiutującym na legendarnej scenie.

Obok wybitnego reżysera realizatorami spektaklu są Tomasz Tokarczyk – kierownictwo muzyczne, Luigi Scoglio – scenografia oraz Katarzyna Aleksander-Kmieć – choreografia. Na operowych deskach usłyszymy aż 16 solistów, m.in. Wojtka Gierlacha, Vasyla Grokholskiego, Małgorzatę Ratajczak, Wojtka Śmiłka, Magdalenę Barylak czy Vladimira Voroshnina.

– Jesteśmy w trakcie realizacji dzieła, które jest trudne, bo zostało napisane jako swego rodzaju eksperyment. Dla mnie jako reżysera największym wyzwaniem było znalezienie kontekstu – wspólnego mianownika, który połączyłby wiele wątków poruszanych w „Miłości do trzech pomarańczy". Stąd pomysł na osadzenie akcji w domu pomocy społecznej, czyli w domu starców. To opera pełna niespodzianek – mówił podczas konferencji prasowej Znaniecki. W ten sposób reżyser symbolicznie nawiązuje również do epoki stalinizmu i trudnego powrotu Prokofiewa do Związku Radzieckiego. Co ciekawe, genialny Rosjanin zmarł tego samego dnia co Józef Stalin, czyli 5 marca 1953 roku...



DARIUSZ PAWEŁEC

Próba do spektaklu w reżyserii Michała Znanieckiego

Czego dotyczy libretto? „Następca tronu, syn Króla Treflowego, cierpi na melancholię. Uleczyć go może tylko śmiech. Mimo dworskich intryg, walk o władzę i wpływy książę uwalnia się od choroby i rusza w podróż, by odnaleźć miłość, zaklętą w pomarańczach..." – czytamy w zapowiedzi. Prokofiew oparł swoją operę na bajce Carla Gozziego. Powstało w ten sposób dzieło wielowarstwowe, balansujące między surrealistyczną farsą, groteskowym humorem i parodią. Możemy spodziewać się zatem wielu metafor i politycznych odniesień.

Akcja krakowskiej inscenizacji nie będzie się rozgrywać wyłącznie na scenie, ale za sprawą chóru również na widowni. – Rola chóru jest bardzo znacząca w tej operze. Kompozytor postawił przed nami bardzo trudne zadania – powiedział Zygmunt Magiera, odpowiedzialny za przygotowanie chóru. Tomasz Tokarczyk, który zadyryguje operą, zdradził: – Z tym tytułem spotkałem się po raz pierwszy kilka lat temu i od razu mnie zafascynował. Cieszę się, że realizujemy go właśnie w Krakowie. Wszystkie zespoły – orkiestra, chór, balet i soliści – bardzo ciężko pracują i od początku podeszły bardzo pozytywnie do tego utworu.

Prapremiera czteroaktowej „Miłości do trzech pomarańczy" rosyjskiego kompozytora odbyła się w 1921 roku w Lyric Opera w Chicago. Krakowska realizacja jest pierwszą w repertuarze polskich teatrów muzycznych. Najbliższe spektakle odbędą się w Operze Krakowskiej 25, 26, 29 i 30 kwietnia (godz. 18.30, ul. Lubicz 48). ●

Gazeta Wyborcza

25-04-2014

e-teatr·pl

26.04.2014

Kraków. Spektakl niespodzianek

Wczoraj w Operze Krakowskiej wystawiona została po raz pierwszy w Polsce opera Siergieja Prokofiewa "Miłość do trzech pomarańczy". W obsadzie są znakomici śpiewacy.

- Realizujemy dzieło, które jest trudne, bo zostało napisane jako swego rodzaju eksperyment. Dla mnie jako reżysera największym wyzwaniem było znalezienie kontekstu - wspólnego mianownika, który połączyłby wiele wątków poruszanych w "Miłości do trzech pomarańczy". Stąd pomysł na osadzenie akcji w domu pomocy społecznej, czyli w domu starców. To opera pełna niespodzianek - mówi Michał Znaniecki, reżyser i autor kostiumów.

Jak dodaje, nawiązuje w inscenizacji do epoki stalinizmu, której ofiarą był Prokofiew. Zmarł, przypomnijmy, w tym samym dniu co Stalin.

Oto w domu starców psuje się telewizor i lekarze postanawiają zainscenizować bajkę "Miłość do trzech pomarańczy". I tak opowieść na podstawie bajki Carlo Gozziego, po którą sięgnął kompozytor, staje się pełną metafor satyrą polityczną. Ale też nie brak w spektaklu akcentów autoironii skierowanej w stronę opery jako gatunku.

Dzieło Prokofiewa, o czym mówił przed spektaklem Tomasz Tokarczyk, dyrygent i kierownik muzyczny Opery, fascynowało go od dawna. Stąd z wielką radością przyjął fakt, że właśnie w Krakowie zostanie ono wystawione po raz pierwszy w Polsce. Jak dodał dyrektor Opery Bogusław Nowak, krakowska inscenizacja już wzbudziła duże zainteresowanie i będzie prezentowana gościnnie na innych scenach kraju.

W spektaklu wielką rolę odgrywa chór, który, mając i zadania aktorskie, pojawia się również wśród publiczności. - Kompozytor postawił przed nami bardzo trudne zadania - ocenia Zygmunt Magiera, odpowiedzialny za przygotowanie powiększonego na potrzeby spektaklu chóru.

- Jestem szczęśliwy, że mogę wystąpić na krakowskiej scenie - mówi wcielający się w

postać Celia Wojtek Śmiłek, bas śpiewający obecnie głównie na scenach Francji.

- Chwała realizatorom, że ten cudowny, fantastyczny utwór w końcu trafia na polską scenę. To wspaniała intelektualna rozrywka dla melomanów.To tygiel wielu stylów muzycznych, odwołujący się do Musorgskiego, Borodina, do muzyki amerykańskiej, w tym jazzu - dodaje Wojtek Gierlach (Król Treflowy), znany z wielu scen europejskich.

Spektakl w scenografii Luigi Scoglio, z choreografią Katarzyny Aleksander-Kmieć grany jest w wersji oryginalnej, z tłumaczeniem.

Kolejne spektakle: 26, 29, 30 kwietnia oraz 4 lipca.

Tytuł oryginalny

Spektakl niespodzianek

Źródło:

Materiał nadesłany

Dziennik Polski online

Autor:

Wacław Krupiński

Data:

26.04.2014

e-teatr·pl

28.04.2014

Opera w krzywym zwierciadle

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Mateusz Borkowski w Gazecie Wyborczej - Kraków.

Inscenizacja "Miłości do trzech pomarańczy" może być w końcu szansą dla Opery Krakowskiej na zaistnienie w krajowym obiegu teatralnym. O ile do realizacji Michała Znanieckiego można mieć pewne zastrzeżenia, to w przypadku solistów, orkiestry i chóru możemy mówić o pełnym sukcesie

Aż nie chce się wierzyć, ale najsławniejsze dzieło operowe Siergieja Prokofiewa, którego prapremiera odbyła się w Chicago w 1921 roku, nie było dotąd wystawiane na deskach polskich teatrów (nie licząc gościnnych występów Teatru Bolszoj z Moskwy i Teatru Operowego z Lublany).

Wpłynęło na to wiele czynników, można nawet mówić o pechu, który prześladował kompozytora na gruncie opery. Tu należy zaznaczyć jednak, że Prokofiew zostawił po sobie kilka operowych perełek, co wytrąca z ręki argument o rzekomej słabości tych dzieł. Na szczęście słuchając "Miłości do trzech pomarańczy", polski meloman może się przekonać, jak sprawnym twórcą operowym był genialny Rosjanin.

Jeśliby jednak szukać powodów, dla których ta opera nie została wystawiona dotychczas w naszym kraju, to z pewnością na pierwszym miejscu wymienić należy trudność ze skompletowaniem obsady, w której występuje aż kilkunastu solistów (pięć basów, cztery soprany, trzy tenory, dwa barytony i alt), w dodatku głównie w rolach epizodycznych. Kolejnym powodem jest nastręczająca trudności - zarówno dla orkiestry, jak i dla chóru - partytura. No i w końcu koszty, które przy tak dużej produkcji nie pozostają przecież bez znaczenia.

Na szczęście wszystkie te przeszkody udało się pokonać, i to w dodatku w Operze Krakowskiej, która przez ostatnie kilkanaście lat próbuje zaistnieć w czołówce teatrów muzycznych w Polsce.

Teatr w teatrze

Prokofiew sięgnął po bajkę Carla Gozziego z 1761 roku, której rosyjską adaptację wręczył mu Wsiewołod Meyerhold, uczeń Stanisławskiego i reformator teatru rosyjskiego. Jak czytamy w libretcie: "przed kurtyną toczą spór Zwolennicy dramatu lirycznego, tragedii, komedii. Każda grupa chce pokazać swoje widowisko, kłótnia staje się coraz bardziej zażarta. Rozdzielają ich Dziwacy i zapraszają na sztukę Miłość do trzech pomarańczy . Herold ogłasza rozpoczęcie przedstawienia: Król Treflowy jest zrozpaczony, jego syn choruje na hipochondrię"...

Już na początku otrzymujemy więc "teatr w teatrze" i czytelny sygnał, że istotna w tej operze będzie nie akcja, ale dominująca nad nią konwencja, liczne metafory, a także aluzje (w tym i muzyczne). "Miłość do trzech pomarańczy" jest bowiem dziełem wielopłaszczyznowym, w którym surrealistyczna farsa łączy się z groteskowym symbolizmem i parodią. Natrafimy w operze na motyw podróży czy poszukiwania dorosłej miłości. Jest świat kabały z czarodziejem Celio i czarownicą Fata Morganą, są zamienione w niebywale duże pomarańcze księżniczki, a jedna z nich zamienia się nawet w szczura... Jest w końcu i groźna Kucharka śpiewająca basem, która przywodzi na myśl nie tylko genderowe skojarzenia, ale przede wszystkim władającego Związkiem Radzieckim Józefa Stalina.

Ciekawostką jest, że Prokofiew zmarł tego samego dnia co słynny dyktator, czyli 5 marca 1953 roku, a wiadomość o jego śmierci ogłoszono w ZSRR z kilkudniowym opóźnieniem, by nie przyćmić wieści o zgonie "Ojca Narodów".

W moskiewskim domu starców

Reżyserujący "Miłość" Michał Znaniecki (autor również kostiumów) nie miał więc łatwego zadania. To już jego trzecia realizacja dla Opery Krakowskiej (po "Don Giovannim" i "Eugeniuszu Onieginie").

Kto zna produkcje Znanieckiego, ten wie, że w jego inscenizacjach aż roi się od pomysłów i inspiracji ze świata popkultury. Tym razem akcję opery osadził w moskiewskim domu starców. Jego pacjenci zdenerwowani zepsutym telewizorem domagają się atrakcji, w związku z czym personel postanawia zainscenizować tytułową bajkę.

Świetnym zabiegiem był pomysł, by kilkudziesięcioosobowy chór śpiewał na wózkach inwalidzkich, a także wpuszczenie kilkunastu chórzystów na widownię (w II akcie). Zresztą chór pełni w tej operze bardzo ważną funkcję. Komentuje, przeszkadza, interweniuje i

dystansuje się od tego, co akurat oglądamy.

Ze scenografii autorstwa Luigiego Scoglia podobała mi się okalająca scenę rama telewizora, przypominająca o umowności całej historii. Ciekawa była choreografia stworzona przez Katarzynę Aleksander-Kmieć, dzięki której również śpiewacy i chór ruszali się w określony, często zabawny sposób.

Z solistów wyróżniłbym przede wszystkim Wojtka Gierlacha (bas, Król Treflowy), Pavla Tolstoya (tenor) jako hipochondrycznego Księcia (świetny fragment ze śmiechem), a także śpiewającego basem Wojtka Śmiłka (Celio), sopranistkę Ewę Biegas (świetna Fata Morgana) i Annę Bernacką (mezzosopran) w roli czarnoskórej służącej Smeraldiny. Na słowa uznania zasługuje również bezbłędny w roli Kucharki komiczny Przemysław Firek, śpiewający basem-barytonem.

Choć pewne rozwiązania zaproponowane przez Znanieckiego uważam za zbyteczne (chórzyści z butelkami wody), a chwilami przeszkadzał mi zbyt duży chaos i nagromadzenie bodźców, to doceniam erudycję i wysiłek, jaki reżyser włożył w inscenizację tak trudnego dzieła.

Pochwalić należy też orkiestrę kierowaną przez Tomasza Tokarczyka oraz chór, który udało się rozruszać (dosłownie) Zygmuntowi Magierze.

Mam nadzieję, że dzięki "Miłości" o produkcjach Opery Krakowskiej zacznie się w końcu - na powrót - mówić.

Tytuł oryginalny
Opera w krzywym zwierciadle

Źródło:
Materiał nadesłany

Gazeta Wyborcza - Kraków nr 98
online

Autor:
Mateusz Borkowski

Data:
28.04.2014

e-teatr·pl

28.04.2014

Dziwacy w operze, czyli gulasz z pomarańczy

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Anna S. Dębowska w Gazecie Wyborczej.

Z listy polskich zaległości operowych ubył ważny tytuł - "Miłość do trzech pomarańczy" Sergiusza Prokofiewa. To iskrząca humorem parodia Mozarta, Wagnera i patetycznego śpiewu włoskich oper.

Wystawione w Operze Krakowskiej dzieło Prokofiewa nie jest operą w potocznym znaczeniu, ale raczej zabawą w teatr, mieszaniną chwytów rodem z baśni, farsy, burleski. Partytura oszałamia efektami instrumentacyjnymi, solistom i chórowi stawia niezwykle trudne zadania wokalne, realizatorom - obsadowe. Do tej opery potrzeba po kilka sopranów, tenorów i basów. Spektakl pod batutą Tomasza Tokarczyka pod tym względem się broni (choć orkiestra z powodu akustyki Opery Krakowskiej została sprowadzona do roli akompaniamentu).

To właśnie trudności obsadowe, jak mówi reżyser Michał Znaniecki, sprawiły, że "Miłości " nie chciały wystawić inne polskie teatry. W Krakowie udało się zebrać znakomitych śpiewaków. Najlepiej wypadli: Ewa Biegas jako czarownica Fata Morgana, Mariusz Godlewski jako Leander, Przemysław Firek w roli śpiewającej basem Kucharki, Pavlo Tolstoy (Książę), Irina Zhytynska (Klaryssa). Rozczarowaniem - wokalnym i aktorskim - okazał się Władimir Worosznin jako błazen Truffaldino. Ta rola to perełka, ale najtrudniej jest zrobić śmieszną komedię.

"Miłość do trzech pomarańczy" była jednym z pierwszych utworów, które Prokofiew skomponował za granicą. W 1918 r. wyjechał z Rosji, w czym pomógł mu sowiecki komisarz ds. kultury Anatol Łunaczarski. Prokofiew był już znany jako autor ostrej, szokującej muzyki, głównie fortepianowej (był świetnym pianistą). Interesował się nim działający w Paryżu słynny impresario baletowy Sergiusz Diagilew, lecz kompozytor postanowił spróbować sił w

Ameryce. Zabrał ze sobą rosyjską adaptację komedii "Miłość do trzech pomarańczy" Carla Gozziego, dar od Wsiewołoda Meyerholda, awangardowego reżysera zafascynowanego komedią dell'arte. Gdy w 1919 r. nawiązał kontakt z operą w Chicago, jej szef Cleofonte Campanini poparł pomysł napisania "włoskiej" opery. Do zwieńczonej sukcesem prapremiery doszło dopiero dwa lata później. Wkrótce Prokofiew podbił stawkę, komponując popisowy III Koncert fortepianowy C-dur, który stał się wielkim przebojem literatury pianistycznej.

Miarą powodzenia "Miłości..." jest jej stała obecność na scenach całego świata, inscenizacje Giorgia Strehlera, Petera Ustinova, Laurenta Pelly'ego. Popkultura wchłonęła "Marsz" z I aktu opery, który wykorzystano jako dżingiel w bijącym rekordy popularności słuchowisku "The FBI in Peace and War" w latach 50. Jako "The FBI March" utwór ponownie trafił pod amerykańskie strzechy w aranżacji na fortepian.

W "Miłości " pojawia się efekt teatru w teatrze. Autor sztuki, na której podstawie Prokofiew oparł rosyjskie libretto - XVIII-wieczny wenecki poeta Carlo Gozzi - usiłował utrzymać przy życiu komedię dell'arte, ludowy teatr, w którym nie chodziło o tworzenie iluzji prawdziwego życia, ale o żywioł gry. Operę otwiera sprzeczka chóru Tragików, Komików i Dziwaków o to, jaki gatunek dramatyczny wystawić. Wybór pada na farsę i oto przenosimy się do państwa Króla Treflowego, którego syn, Książę, choruje na czarną melancholię. Wyleczony śmiechem przez Truffaldina, wyrusza w podróż w poszukiwaniu trzech pomarańczy. Libretto jest bardzo zagmatwane. Niestety, Michał Znaniecki istną nawałnicą pomysłów jeszcze bardziej je skomplikował.

Dla tego aktywnego na kilku kontynentach reżysera zabawa możliwościami sceny i kliszami popkultury to chleb powszedni. Realizował opery w plenerach, wpuszczał wodę na scenę ("Eugeniusz Oniegin"), odwracał dekoracje do góry dnem ("Łucja z Lammermoor"), a "Don Giovanniego" pokazał przez pryzmat filmu "Osiem i pół" Felliniego. Akcję "Miłości do trzech pomarańczy" umieścił w domu dla seniorów - aby rozweselić pensjonariuszy, lekarze inscenizują baśń sceniczną. Pomysł nienowy - wystarczy wspomnieć film Jacka Bławuta "Jeszcze nie wieczór", w którym aktorzy seniorzy wystawiają "Fausta", "Falstaffa" w reżyserii Christopha Loya w Deutsche Oper w Berlinie, film "Il Bacio di Tosca" Daniela Schmida. Znaniecki swojej koncepcji nie przeprowadził wyraziście od początku do końca. Wolał mnożyć pomysły na podkreślenie scenicznej umowności: wielką imitację telewizora, w którego środku toczy się akcja, usadowienie chóru między widzami, którzy stają się współuczestnikami spektaklu. Są też inne tropy: "Lot nad kukułczym gniazdem" (znęcanie się nad pacjentami), "Nagi instynkt" (czarownica Fata Morgana w kostiumie Sharon Stone), młodzieżowa literatura przygodowa, film drogi. Niektóre pomysły znakomite, inne mniej, ale

pozostaje wrażenie, że sam reżyser gubi się w tym galimatiasie.

Trzeba jednak oddać sprawiedliwość Znanieckiemu, bo to dzięki jego determinacji mamy wreszcie operowego Prokofiewa. A lista innych zaległości jest wciąż długa. Czekają na polską premierę: "Śpiewacy norymberscy" Wagnera (1868), "Gracz" Prokofiewa (1927), "Nos" Szostakowicza" (1928) "Lulu" Berga (1937), "Obrót śruby" Brittena (1954), "Dziewczynka z zapałkami" Lachenmanna (1997), opery Henzego i Sciarrina.

Z operą XX wieku jest w Polsce jak z Wagnerem - przez dekady traktowano ją nieufnie, polegając niemal wyłącznie na kanonie złożonym z wycinkowo potraktowanej twórczości Moniuszki, Bizeta, Verdiego, Pucciniego. Odwilż w ostatnich latach przeszła przez Operę Narodową w Warszawie, Teatr Wielki w Poznaniu, Operę Bałtycką w Gdańsku, Operę Wrocławską. Idzie ku dobremu.

Tytuł oryginalny

Dziwacy w operze, czyli gulasz z pomarańczy

Źródło:

Materiał nadesłany

Gazeta Wyborcza nr 98 online

Autor:

Anna S. Dębowska

Data:

28.04.2014

e-teatr·pl

28.04.2014

Ponura bajka w telewizorze produkcji radzieckiej

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Jacek Marczyński w Rzeczpospolitej.

Na "Miłości do trzech pomarańczy" publiczność w Krakowie śmieje się często. Aż do zaskakującego finału.

Rzadko zdarza się tak żywiołowa reakcja w operze. Ale też reżyser Michał Znaniecki wydobył wszystkie walory teatralne "Miłości do trzech pomarańczy", a dyrygent Tomasz Tokarczyk z solistami, chórem i orkiestrą Opery Krakowskiej zatroszczył się, by ukazać blask muzyki Sergiusza Prokofiewa. Jest jednak w tym spektaklu wartość dodana.

"Miłość do trzech pomarańczy" to najpopularniejsza opera Prokofiewa, ale w ciągu prawie stu lat, jakie minęły od jej powstania, nie wystawił jej żaden teatr w Polsce. Zapewne dlatego, że nie przystaje do standardowych opowieści o miłości. To szalona bajka w stylu dawnych komedii dell'arte i sztuk Carla Gozziego, z dodatkiem pomysłów awangardy z początku XX wieku.

Treść akcji można przedstawić tak: Książę, na którego rzuciła czary Fata Morgana, zakochał się w księżniczce zamkniętej w pomarańczy. Musi pokonać wiele przeszkód, nim ją poślubi, bo nie brak tych, którzy pragną zamiast niego zasiąść na tronie. A świat, przez który wędruje, pełen jest potworów, jak Kucharka-olbrzymka, zabijająca uderzeniem wielkiej chochli.

To nie jest jednak bajka dla dzieci. Trzeba umieć docenić bogactwo muzycznych pomysłów Prokofiewa. A w samej historii, wpisanej w konwencję teatru w teatrze, ukryta jest cienka granica między finezyjną zabawą a wygłupem. Wielu inscenizatorów ląduje zaś po jej niewłaściwej stronie.

Kiedy w Krakowie bas Przemysław Firek jako Kucharka zdejmuje kaftany i halki, zalecając się do sługi Truffaldina (Władimir Worosznin), publiczność śmieje się głośno. Już wcześniej zresztą uległa urokowi spektaklu, choćby w scenie balu, gdy śpiewający chór szalał wśród widzów.

Walorów spektaklowi dodają wykonawcy. Mimo że "Miłość do trzech pomarańczy" wymaga prawie 20 solistów, w Operze Krakowskiej mamy przykład świetnej, zespołowej pracy. Prym zaś wiodą: Wojtek Gierlach (Król Treflowy), Paweł Tołstoj (Książę), Ewa Biegas (Fata Morgana), Wojtek Śmiłek (czarownik Celio) czy Mariusz Godlewski (zły Leander).

Michał Znaniecki poprowadził akcję w zawrotnym tempie, ale najważniejszy jest reżyserski punkt wyjścia. Prolog, w oryginale będący kłótnią między zwolennikami tragedii i komedii, przeniósł do domu starców, którego pensjonariusze spierają się, który telewizyjny program chcą oglądać. Wszystko, co dzieje się dalej, dociera już z ekranu telewizora, choć w główne role wcielają się lekarze i sanitariusze.

Ma to - jak się okaże - przykre konsekwencje. W finale Książę odzyskuje ukochaną i bajka się kończy, władza wraca do tych, którzy sprawują pieczę nad pensjonariuszami - do Faty Morgany i jej zaufanych. Tak oto nie robiąc niczego wbrew tekstowi, Znaniecki nadał nową treść pozornie beztroskiej komedii. Odbija się w niej los samego Prokofiewa, który też zaznawszy przygód w wielkim świecie, wrócił do Związku Radzieckiego i stał się pensjonariuszem, skazanym na łaskę innych.

Tytuł oryginalny

Ponura bajka w telewizorze produkcji radzieckiej

Źródło:

Materiał nadesłany

Rzeczpospolita online

Autor:

Jacek Marczyński

Data:

28.04.2014

e-teatr·pl

29.04.2014

Pomarańczowy melanż

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Dorota Szwarcman na swoim blogu w Polityce.

Przede wszystkim wspaniale jest zobaczyć wystawione na polskiej scenie dzieło Prokofiewa z jego najlepszego okresu. W krakowskiej realizacji było aż gęsto od nadmiaru pomysłów, jak to u Michała Znanieckiego, ale to bajka, więc więcej można wybaczyć.
Początek spektaklu rozgrywający się w moskiewskim domu starców nawet się broni. Pacjenci zdenerwowani zepsutym telewizorem żądają rozrywki. Bajka się zaczyna. Ale potem rzecz już nie zostaje pociągnięta - chyba że to my mamy czuć się tymi pacjentami, bo w pewnym momencie okno sceniczne zostaje okolone ramą a la telewizor i większość akcji (łącznie z projekcjami) w tym telewizorze się rozgrywa. To też jest nawet dość zabawne.
Bajka jest dość skomplikowana, a szczególną rolę w niej ma chór. Musi się poruszać również po widowni - w związku z tym jakaś ilość miejsc (bodaj koło dziesięciu) musi być zablokowana. Jest wciąż dużo krzyku i hałasu, gag goni gag, aż można się w tym pogubić, a pointa, niezgodna z treścią, stawia wszystko na głowie. Jednak najważniejsze wątki są zachowane. I tu podziw przede wszystkim dla śpiewaków. Prokofiew zawsze był wymagający, w jego operach zwykle musi występować tłum solistów. Tu trzeba było ich pościągać z różnych ośrodków, choć przedstawicieli gospodarzy również nie brakowało. Świetny był Król Treflowy - Wojtek Gierlach i Książę - Pavlo Tolstoy. Towarzyszący mu w wyprawie po pomarańcze gość z Rosji, Vladimir Voroshnin, głosowo był niezły, ale aktorsko sztywny, za to wybranka Księcia, Ninetta (Katarzyna Oleś-Blacha), przydała swej postaci szczególnego humoru. Niewielką, ale znaczącą negatywną rolę intrygującego Leandra zagrał Mariusz Godlewski; jako Księżniczka Clarissa towarzyszyła mu Iryna Zhytynska (jak zawsze jej głos wydał mi się zbyt rozwibrowany). Za to komediowe role były znakomite: Ewa Biegas jako zła wróżka Fata Morgana, Anna Bernacka jako czarnoskóra Smeraldina (w oryginale słodki blond), Wojtek Śmiłek jako Mag Celio i Przemysław Firek w roli Kucharki z wielką chochlą.
A w przerwie częstowano publiczność pomarańczami. To akurat nie było bardzo kosztowne.

Bo w ogóle wystawienie Miłości do trzech pomarańczy tanie nie jest. Ale warto było - przede wszystkim z powodu genialnej muzyki.

Tytuł oryginalny

Pomarańczowy melanż

Źródło:

Materiał nadesłany

www.szwarcman.blog.polityka.pl

Autor:

Dorota Szwarcman

Data:

29.04.2014

e-teatr·pl

29.04.2014

Prawdziwe pandemonium teatru

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Justyna Nowicka na stronie Radia Kraków.

Na scenie Opery Krakowskiej Michał Znaniecki wyreżyserował "Miłość do trzech pomarańczy" - słynną operę Sergiusza Prokofiewa.

Oczekiwania były, nie ma co kryć, ogromne, bo to pierwsza inscenizacja tej opery w Polsce. Trudno uwierzyć, że prapremiera tego fantastycznego utworu, odbyła się prawie sto lat temu - w 1921 roku. I choć nie każdy teatr ma w swoim repertuarze "Miłość do trzech pomarańczy", bo to dzieło wielce wymagające dla zespołu, utwór cieszy się w świecie opery zasłużoną renomą, i każda premiera jest wydarzeniem.

Trudno w krótkich słowach dotknąć fenomenu tej opery - szalona komediofarsa, w której kompozytor bezustannie miksuje różne gatunki to także wielka, mistrzowska zabawa muzycznymi cytatami. Usłyszymy nawiązania do epiki wagnerowskiej i baśniowego klimatu oper Mozarta. Zauważymy inspiracje włoską komedią dell'arte z utwórem Gozziego, który stał się podstawą dla libretta. Znawca tematu jednym tchem wymieni farsę, symboliczną groteskę, typową w owym czasie dla Prokofiewa ironię i upodobanie do surrealistycznej zabawy. Słowem, zaledwie kilkanaście lat po sukcesach wielkich, werystycznych oper Pucciniego, Prokofiew z żelazną konsekwencją proponuje nam dekonstrukcję klasycznej opery. I czyni to w wielkim stylu.

Podstawą libretta jest dość błaha historyjka o smutnym księciu, któremu klątwa każe zakochać się w trzech pomarańczach i szukać ich po całym świecie. O losy księcia i królestwa grają w karty dobre i złe duchy. Siłom dobra i zła towarzyszą na scenie ich słudzy w świecie ludzi - okrutna kucharka morderczyni czy dobry, choć naiwny błazen. Do akcji nieustająco wtrąca się dziwaczny chór, nie dość, że Dziwaków, to jeszcze nie znoszących sprzeciwu zwolenników tragedii lub farsy. Dość szczególna parodia chóru w antycznym dramacie. I choć "Miłość do trzech pomarańczy" jest baśnią, spektakl Michała Znanieckiego wcale dobrze się nie kończy.

"Miłość do trzech pomarańczy", jak zapowiadał reżyser, nie jest bajką dla dzieci - jest metaforą naszej inicjacji i rozczarowania dorosłością. Krakowska inscenizacja przenosi nas w czasy sowieckiej Rosji. Wiedźma Fata Morgana uosabia zło i opresję systemu, królewski minister nie tylko wygląda, ale zachowuje się jak Stalin. To ciekawy koncept, szczególnie jeśli będziemy pamiętać, że sam Prokofiew był

jedną z ofiar tego systemu, a jego początkowe sukcesy na scenach ZSRR zamieniły się w odrzucenie i upokorzenie. Tragikomiczna konwencja utworu doskonale współbrzmi z historycznymi realiami - w Rosji epoki Prokofiewa cała rzeczywistość była przecież trochę śmieszna, ale chyba jeszcze bardziej straszna.

Otrzymujemy więc ciekawą i konsekwentną interpretację klasycznego już utworu, choć inaczej niż w oryginale - "Miłość do trzech pomarańczy" w Krakowie nie kończy się happy endem. Kochankowie pokonują co prawda czarodziejskie przeszkody, ale w państwie zarządzanym przez Stalina, ich prywatne historie nie mają już żadnego znaczenia.

By przeprowadzić na scenie ten dość skomplikowany koncept Michał Znaniecki uruchamia prawdziwe pandemonium teatru - najpierw umiejscawia akcję w domu starców, potem z domu starców transponuje ją do wielkiego telewizora. Bogata, fenomentalnie zrytmizowana faktura utworu, otrzymuje na scenie oprawę w postaci nieustającej karuzeli pomysłów, choreograficznych komplikacji, przebieranek i migających ekranów, dopowiadających do warstwy muzycznej, proponowane przez Znanieckiego sensy.

Niestety w gąszczu tych fajerwerków można się podczas spektaklu nieco zagubić. Trochę zabrakło zaufania do samej muzyki, której teatralność nie potrzebuje tak przegadanej oprawy.

Mimo tych wątpliwości, "Miłość do trzech pomarańczy" to jedno z ciekawszych przedstawień w krakowskiej operze. Prawdziwym wyzwaniem była sama, niezwykle skomplikowana obsada, skompletowana prawie z całej Polski. Wszystkich postaci nie sposób wymienić, ale warto wspomnieć, że usłyszeliśmy w Krakowie, w bardzo dobrej formie, czołowe polskie głosy. Partię Króla Treflowego zaśpiewał Wojciech Gierlach, Ewa Biegas - Fata Morgana, Przemysław Firek zachwycił rolą wulgarnej Kucharki, Pavlo Tolstoy - Książę, czy Wojciech Śmiłek - jako dobry czarodziej Celio.

Tytuł oryginalny
"Miłość do trzech pomarańczy"

Źródło:
Materiał nadesłany

www.radiokrakow.pl

Autor:
Justyna Nowicka

Data:
29.04.2014

e-teatr·pl

30.04.2014

Polska prapremiera: kolejny krok wzwyż

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Anna Woźniakowska na blogu w portalu Polska Muza.

Premiera, a właściwie polska prapremiera "Miłości do trzech pomarańczy" Sergiusza Prokofiewa przedstawiona Operze Krakowskiej w piątek 25 kwietnia była ze wszech miar udana. Reżyser Michał Znaniecki stworzył spektakl zwarty, rozwijający się konsekwentnie. Dobrze wykorzystał elementy commedii dell'arte. Łącząc je z odniesieniami do czasów Prokofiewa, ale i do współczesności, szczególnie wyraźnymi w zaprojektowanych przez siebie kostiumach, podkreślił ironiczno-satyryczną wymowę dzieła. Nawet nieoczekiwana zmiana zakończenia - zło w postaci Fata Morgany jednak zwycięża - wydaje mi się przy takim odczytaniu opery uzasadniona. Oglądając "Miłość do trzech pomarańczy" w Operze Krakowskiej można się dobrze zabawić, można się też zadumać nad światem, w którym tak łatwo miernoty zdobywają władzę.

Sukces piątkowej premiery to zasługa przede wszystkim wykonawców. Kierownik muzyczny i dyrygent Tomasz Tokarczyk zgromadził na krakowskiej scenie artystów, którzy nie tylko z powodzeniem poradzili sobie z trudnymi partiami, ale też stworzyli wyborne postaci. To ważne, że na krakowskiej scenie śpiewa kwiat polskiej wokalistyki, a obok gości równie dobrze poczynają sobie krakowscy artyści. Wojtek Gierlach jako Król Treflowy, Ewa Biegas - Fata Morgana, Przemysław Firek w roli demonicznej i komicznej Kucharki, Pavlo Tolstoy - Książę, Katarzyna Oleś-Blacha - Ninetta, Mariusz Godlewski - Leander, Wojtek Śmiłek - Celio, Monika Korybalska -Nicoletta, Anna Bober - Linetta, Michał Kutnik - Farfarello, Anna Bernacka - Smeraldina, Iryna Zhytynska - Clarissa, Vladimir Voroshin, Bartłomiej Misiuda, Krzysztof Dekański, Krzysztof Kozarek, wszyscy wykonawcy zbudowali bardzo dobry teatr. Także chór, który przygotowany przez Zygmunta Magierę nie tylko pięknie śpiewał, ale był równoprawnym partnerem solistów. No i orkiestra grająca pod batutą Tomasza Tokarczyka dobrze, z nerwem, choć by w pełni ją ocenić musiałabym co najmniej raz jeszcze obejrzeć spektakl i mniej śledzić wydarzenia na scenie i widowni (tak!) a bardziej skupić się na

dźwiękach dobiegających z kanału. Z prawdziwym zainteresowaniem oglądałam scenografię. Jej twórca Luigi Scoglio posłużył się przede wszystkim multimediami, udowadniając jakie wielkie możliwości dają one artystom.

Czy krakowska "Miłość do trzech pomarańczy" będzie się cieszyć powodzeniem? Sądząc po reakcjach młodych słuchaczy obecnych na premierze, właśnie młodzież będzie wdzięcznym odbiorcą spektaklu. Melomanom przyzwyczajonym do dziewiętnastowiecznego teatru muzycznego nowa pozycja w repertuarze Opery Krakowskiej otwiera nowe horyzonty, ciekawe i wcale nie trudne w odbiorze. Udana piątkowa premiera ma też niebagatelne znaczenie dla pozycji Opery Krakowskiej w polskim życiu muzycznym. To kolejny krok wzwyż.

Tytuł oryginalny

POLSKA PRAPREMIERA; kolejny krok wzwyż

Źródło:

Materiał nadesłany

www.polskamuza.eu

Autor:

Anna Woźniakowska

Data:

30.04.2014

Przegląd nowości

Polska premiera „Miłości do trzech pomarańczy”

Szczegóły

Opublikowano: środa, 30, kwiecień 2014 10:55

Opera Krakowska zdecydowała się na śmiały krok wprowadzenia na polską scenę operowej bodaj najpopularniejszej opery Sergiusza Prokofiewa, której światowa premiera miała miejsce 30 grudnia 1921 roku w Lyric Opera w Chicago.



Scena zbiorowa

Dzieło to jednak, mimo wybitnych walorów muzycznych, z racji trudności i wymagań jakie stawia wykonawcom i zespołowi realizatorów, nigdy nie zdobyło wielkiej popularności na światowych scenach. Pojawia się na nich wyjątkowo rzadko, a jeżeli już jest wystawione to jakoś nigdy nie może zbyt długo pozostać na afiszu.



Scena baletowa

Libretto, którego autorem jest kompozytor, oparte na bajce Carlo Gozziego, kipi od bajkowych treści i pomysłów, co okazało się punktem wyjścia dla Michała Znanieckiego do stworzenia przedstawienia o zawrotnie szybkiej akcji, dramaturgicznej wyrazistości i zwartości. Jednak nie jest to bajka dla dzieci, nawet tych niegrzecznych!

Z fantazją poprowadzony Prolog, w oryginalnej wersji będący kłótnią między zwolennikami komedii i tragedii, do której włączają się dziwacy, został przez reżysera przeniesiony do sali telewizyjnej domu opieki dla starych i chorych ludzi, którzy spierają się o to, który program telewizyjny będą oglądać.



Pavlo Tolstoy i Wojciech Gierlach

Wszystko co po tym oglądamy jest konsekwencją tego sporu przekazywaną w telewizyjnym obrazie, który niejako narzuca punkt widzenia umowności całej historii. Najpierw lekarze i pielęgniarki pozbywając się atrybutów swojego zawodu stają się głównymi bohaterami toczącej się w dynamicznym tempie akcji przenoszonej często na widownię.

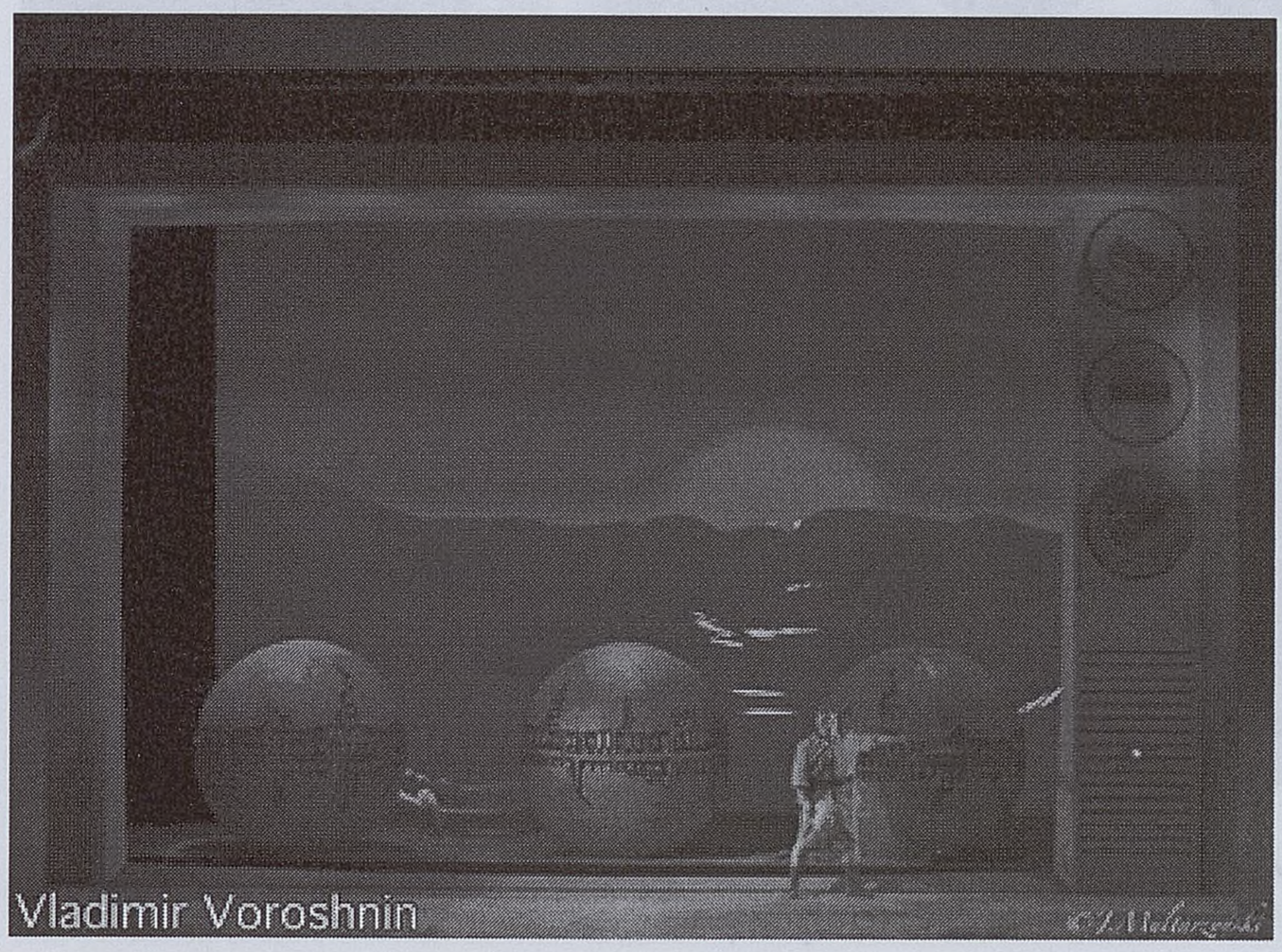


Przemysław Firek, Vladimir Voroshnin i Pavlo Tolstoy

Świetnie przygotowany przez Zygmunta Magierę chór jest w tej sytuacji bardziej jej komentatorem niż uczestnikiem akcji. Całe przedstawienie jest zrealizowane z humorem przez pryzmat spojrzenia na współczesność, ale ze sporym dystansem do operowo-bajkowej rzeczywistości, co sprawia, że publiczność znakomicie się bawi od pierwszej do ostatniej sceny.

Dawno już nie obserwowałem tak wybornej zabawy na widowni. Jedyne co mnie nie do końca przekonywało

to mało czytelny finał rozgrywany w tej samej przestrzeni co Prolog z tym jednak, że w międzyczasie sala telewizyjna przemieniona została na salę gimnastyczną, w której odbywają się zajęcia rehabilitacyjne.



Vladimir Voroshnin

Warto jeszcze choćby tylko jednym zdaniem wspomnieć o interesującej scenografii Luigi Scoglio wspomaganej licznymi projekcjami. Interesująco rozwiązano tez choreografię i ruch sceniczny.



Scena finałowa

Należy też podkreślić czytelną dramaturgię i charakterystykę każdej z występujących na scenie postaci, a jest ich w tej operze kilkanaście. Tutaj popis w tworzeniu teatru dali znakomici tak pod względem wokalnym jak i aktorskim wszyscy bez wyjątku artyści. Doskonały był Wojciech Gierlach w roli nieco zagubionego i nieco nieporadnego Króla Treflowego. Świetną kreację partii Księcia hipochondryka dał Pavlo Tolstoy.

Nieco z innej planety postać Maga Celio stworzył Wojtek Śmiłek. Świetni w swoich charakterystycznych komediowych rolach byli: Anna Bernacka – czarnoskóra Smeraldina o dużych gabarytach, Przemysław Firek – potężna kucharka wywijająca potężną warząchwią, a przede wszystkim świetnie prezentująca się na scenie Ewa Biegas w partii złej wróżki Fata Morgany.



Katarzyna Oleś-Blacha, Wojciech Gierlach i Iryna Zhytynska

Dzielnie im sekundowali Katarzyna Oleś-Blacha jako Ninetta oraz Mariusz Godlewski w roli Leandra. Można powiedzieć jedno – w tej obsadzie nie było słabych punktów!



Przemysław Firek, Wojtek Śmiłek i Mariusz Goglewski

Równie wysoką ocenę należy wystawić stronie muzycznej tej premiery. Tomasz Tokarczyk nie tylko zadbał o wyeksponowanie blasku, barwności i pełnego bogactwa muzyki Prokofiewa, ale też z wielką precyzją prowadził premierowe przedstawienie. Świetnie przygotowana orkiestra z zapałem pokonywała niemałe trudności tej partytury.

Adam Czopek

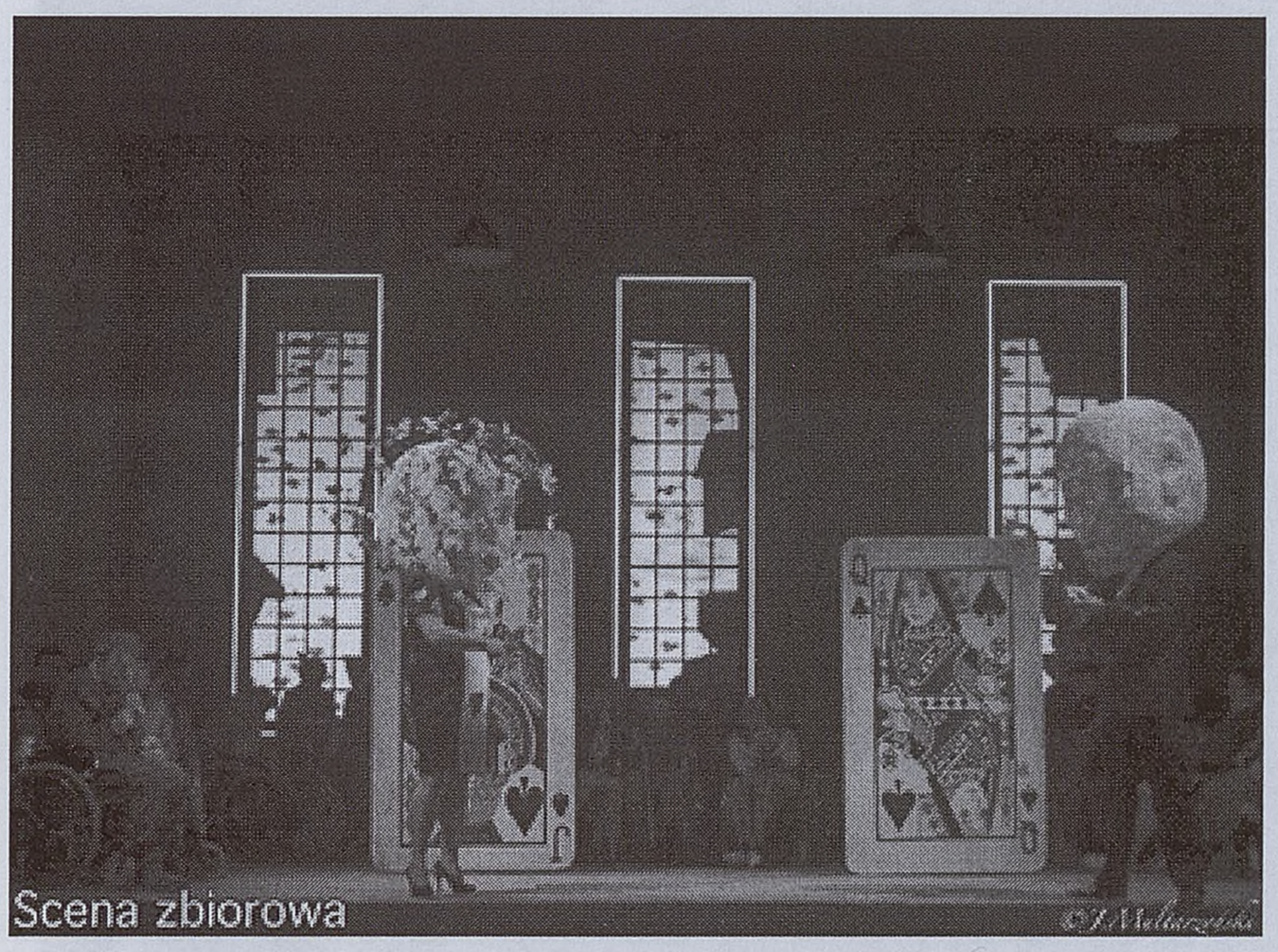
Przegląd nowości

Najnowsza operowa prapremiera w Krakowie

Szczegóły

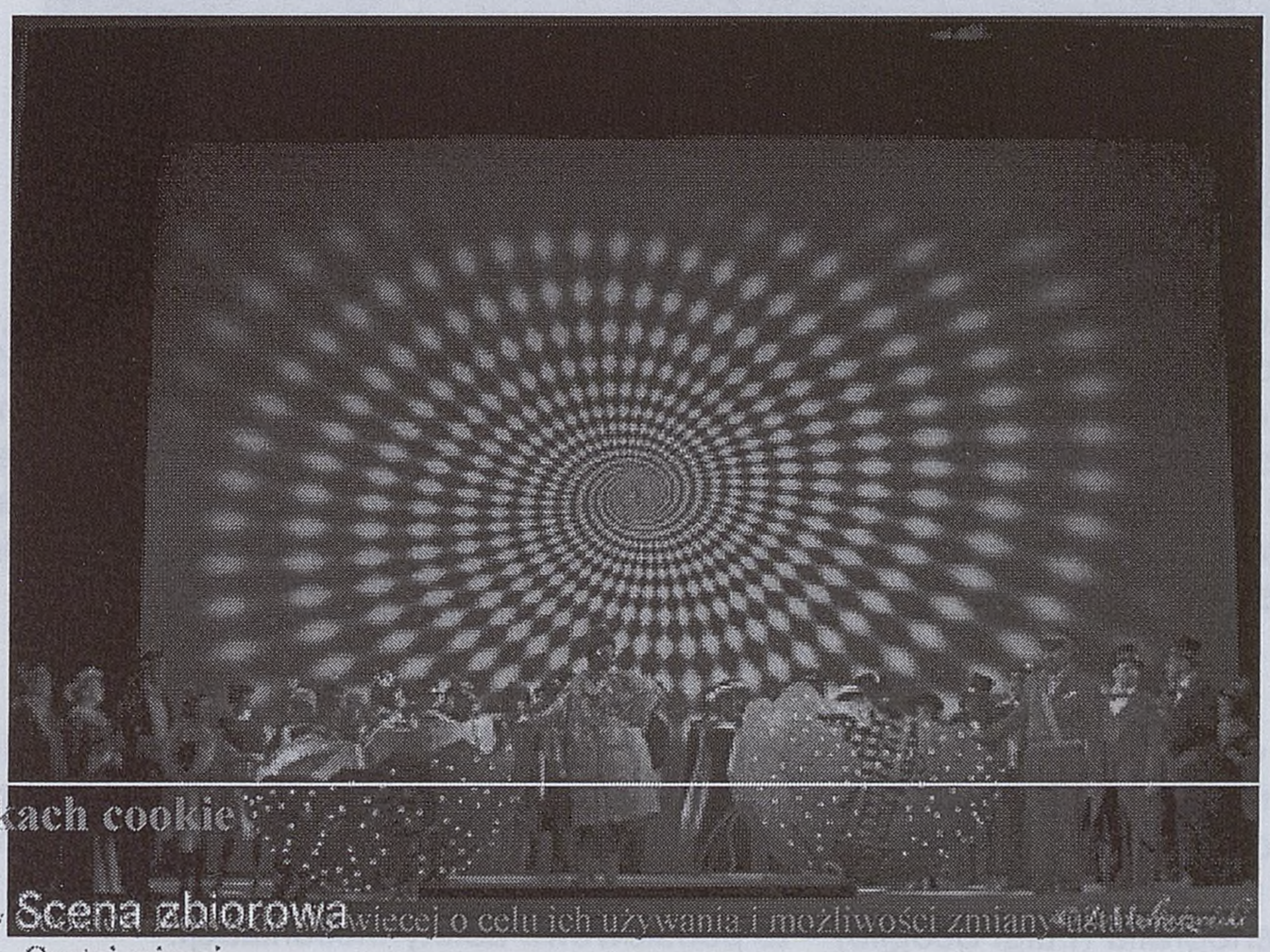
Opublikowano: niedziela, 04, maj 2014 10:56

To już czwarta w historii Opery Krakowskiej (działającej instytucjonalnie od 1954 roku) prapremiera polska. 25 kwietnia 2014 roku krakowską scenę wzbogaciła „Miłość do trzech pomarańczy" Sergiusza Prokofiewa. Wcześniej były „Don Kichot" Julesa Masseneta (1962), „Loteria na mężów" Karola Szymanowskiego (2007) i „Ariadna na Naxos" Richarda Straussa (2012).



Scena zbiorowa

Dziełem Prokofiewa zainteresowani byli jego dwaj główni realizatorzy: dyrygent i kierownik muzyczny Opery Krakowskiej Tomasz Tokarczyk (p.: Dziennik Polski 26-27.04.2014) oraz jej reżyser Michał Znaniecki (p.: Rzeczpospolita 13.04.2014). Tak więc włączenie tej opery w stały repertuar sceny krakowskiej zapewne w dużym stopniu im właśnie zawdzięczamy.



Scena zbiorowa

Informacje o plikach cookie

Zamknij

Ta strona używa plików [illegible] więcej o celu ich używania i możliwości zmiany ustawień Cookies w przeglądarce. Czytaj więcej...

„Miłość do trzech pomarańczy" jest operą znacznie bardziej surrealistyczną, może nawet absurdalną, niż neoklasyczną, jaką bywa klasyfikowana. W zamierzeniach kompozytora była zapewne swoistym renesansem opery buffa, rezygnacją z psychologizacji bohaterów i zdecydowanym nawiązaniem w estetyce teatralnej do techniki filmowej.

Już libretto samego Prokofiewa na podstawie sztuki o tym samym tytule Carlo Gozziego oraz komedii Konstantina Wogaka, Wsiewołoda Meyerholda i Władimira Sołowiowa, prowokuje do prezentacji baśniowego nie zaś realistycznego świata. Krytyk muzyczny Józef Kański w swoim Przewodniku Operowym (PWM, 1964) przypomniał, iż opera ta ma pozycję dość osobliwą w operowym świecie, *każdy bowiem meloman słyszał o tej operze i umie o niej coś niecoś powiedzieć, bardzo mało kto jednak oglądał ją na scenie.*



Iwona Socha

Krytycy podkreślają wprowadzenie do dzieła pastiszu klasycznej opery, jej aluzyjność, może niekiedy i złośliwość, wreszcie ironiczne potraktowanie jej bohaterów. Sam kompozytor powiedział: *próbowano dociekać, co właściwie wyśmiewam, publiczność, Gozziego, formę opery, czy tych co nie umieją się śmiać. A ja chciałem po prostu stworzyć wesołe przedstawienie* (J. Jaroszewicz „Prokofiew", PWM 1983). Światowa premiera tej opery miała miejsce w Chicago w 1922 roku. Dzieło stało się pierwsza operą , jaką w Stanach Zjednoczonych zamówiono u cudzoziemskiego kompozytora. Publiczność amerykańska przyjęła operę dobrze, krytyka nie zostawiła na niej suchej nitki.

A jak operę przyjęto w Krakowie? W tym przypadku krytyka była zgodna z oceną publiczności. Zarówno bowiem realizacja sceniczna jak i wykonawstwo wokalne i muzyczne ujawniło intencje kompozytora i znalazło zrozumienie u realizatorów. Znakomicie zarysowane postaci, szybka zmiana obrazów, a tym samym nastroju, z bardzo umiejętnym wykorzystaniem techniki filmowej (Bogumił Palewicz), umowna ale wpisana w treść i konweniująca z nią scenografia (Luigi Scoglio) – to podstawowe zalety inscenizacji.


Siedzi Wojciech Gierlach

Muzyka Prokofiewa jest zróżnicowana, barwna, chwilami wirtuozerska i tak prezentował ją dyrygent Tomasz Tokarczyk wydobywając niuanse i sola instrumentów (zwłaszcza dętych i altówek). Warto przypomnieć, iż mimo niewątpliwych walorów recepcyjnych, muzyka „Miłości do trzech pomarańczy" popularna jest dzięki zaledwie dwu częściom „Suity symfonicznej" op. 33 bis: Marszowi z II aktu (Truffaldino – Janusz Ratajczak prowadzi Księcia – Pavlo Tolstoy na bal) oraz Scherzu z III aktu (Książę i Truffaldino odnajdują pomarańcze i wyruszają w drogę powrotną).

W warstwie wokalnej Prokofiew unika zamkniętych form. Tradycyjne arie zastępują rozwijająca się melodyka, aluzyjna fraza kantyleny i raczej krótkie ariosa. Od solistów kompozytor często wymaga ekstremalnych umiejętności śpiewu. A partii solowych jest w tej operze aż 16! I wszyscy zostali dobrani bardzo trafnie i sprawdzili się aktorsko, by wymienić tylko tych, którzy mieli więcej do śpiewania: prócz już wzmiankowanych Wojciech Gierlach (Król Treflowy), Krzysztof Witkowski (Leander), Wojciech Śmiłek (Celio), Magdalena Barylak (Fata Morgana), Iwona Socha (Ninetta). Wysokie wymagania stawia też Prokofiew chórowi (koloraturowe figuracje, brawurowe glissanda doskonale wykonane prze Chór Opery przygotowany przez Zygmunta Magierę).



Wydaje się, że „Miłość do trzech pomarańczy" stanie się mocną pozycją repertuaru Opery oraz interesującym jej „obiektem eksportowym".

Jacek Chodorowski

e-teatr·pl

09.05.2014

Słodko-gorzki smak trzech pomarańczy

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Magda Huzarska-Szumiec w Polsce Gazecie Krakowskiej.

Lubię niejednoznaczne smaki, a taki bez wątpienia ma pomarańcza. Pewnie przez to, że przez pierwszą warstwę jej słodyczy przebija delikatna gorycz skórki. Domyślam się, że podobne doznania ważne są dla Michała Znanieckiego, który zrealizował niewystawiany dotąd w Polsce utwór Siergieja Prokofiewa "Miłość do trzech pomarańczy". Po obejrzeniu go w Operze Krakowskiej nie mam wątpliwości, że w niesamowitej muzyce rosyjskiego kompozytora znalazł on całą gamę smaków i zapachów, od tych bardzo przyjemnych, po te aż nadto niepokojące. Z pomocą scenografa Luigiego Scoglia wyczarował na scenie atrakcyjny, inspirowany wieloma gatunkami sztuki świat, od którego nie można oderwać oczu.

A wszystko ma swój początek w moskiewskim domu starców, gdzie siedzący na wózkach inwalidzkich chór staruszków domaga się rozrywki, której nie może im już dostarczyć zepsuty telewizor. Ponieważ jedni pensjonariusze życzą sobie farsy, a drudzy tragedii, sanitariusze postanawiają dostarczyć im jednego i drugiego gatunku sztuki. Robią to przy pomocy przedstawienia opowiadającego o Królu Treflowym, którego syn cierpi na hipochondrię. Ten teatr w teatrze będzie posiłkował się i komedią dell'arte, i groteską, i farsą, i surrealistycznymi dowcipami, nie odrzucając elementów oper Mozarta czy Wagnera. To pomieszanie z poplątaniem pomaga akcji rozwijać się w zawrotnym tempie. Trudno aż nadążyć za gagami w wykonaniu świetnie śpiewającego i grającego chóru oraz znakomitych solistów, których do spektaklu zaproszono z wielu scen operowych. W drugiej części tempo nieco zwalnia i przeradza się najpierw w coś w rodzaju sennego horroru rozgrywającego się w strasznym zamku, w którym rządzi śpiewająca basem Kucharka, a następnie w me-lodramatyczną historię Księcia i odnalezionej w dojrzałej pomarańczy Księżniczki. I kiedy już trochę się uspokajamy, słuchając ich miłosnych wyznań, muzyka Prokofiewa zaczyna nas coraz bardziej niepokoić. Podążająca za nią akcja wraca do domu starców, gdzie rządzą teraz nie baśniowi czarodzieje, ale całkiem realny Stalin i jego

poplecznicy. Dyktator pokazuje arystokratycznym kochankom, gdzie jest ich miejsce, a zdrajców załatwia w jedyny słuszny według niego sposób.

Dawno w Operze Krakowskiej nie widziałam tak interesującego przedstawienia, w którym byłoby i śmieszno, i straszno. Znanieckiemu spektakl się udał, bo umiejętnie żonglował różnymi emocjami niczym dojrzałymi pomarańczami, które choć w środku bywają soczyście słodkie, to jednak na zewnątrz mają gorzką skórkę.

Tytuł oryginalny

Słodko-gorzki smak trzech pomarańczy

Źródło:

Materiał nadesłany

Polska Gazeta Krakowska Nr 106

Autor:

Magda Huzarska-Szumiec

Data:

09.05.2014

e-teatr·pl

13.05.2014

Pomarańcze Prokofiewa

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Paweł Dybicz w Przeglądzie.

Jak zmienić mało skomplikowaną bajkę (Carla Gozziego) w pełne odniesień politycznych przedstawienie, pokazał Michał Znaniecki, reżyserując wystawianą po raz pierwszy w Polsce (!) operę Siergieja Prokofiewa "Miłość do trzech pomarańczy". Znaniecki akcję powstałej prawie 100 lat temu opery przeniósł do Rosji Radzieckiej, a konkretnie do domu starców, którego pensjonariusze oglądają telewizję. Kiedy odbiornik się psuje, dyrekcja postanawia zainscenizować bajkę o synu Króla Treflowego, którego z melancholii może uleczyć śmiech. Rzucona na księcia klątwa każe mu się zakochać w pomarańczach. Szukając ich, spotyka wiedźmę Fata Morganę czy diabła Farfarella upozowanego na Stalina. U Znanieckiego nie ma prawdziwego happy endu. Książę, któremu pomaga czarownik Celio, odzyskuje ukochaną, ale wraca do rzeczywistości, do żywota mieszkańca domu starców. "Miłość..." jest najbardziej znaną operą Prokofiewa. To, że dopiero teraz można ją obejrzeć w Polsce, tłumaczyć należy chyba tym, że niełatwo było zrobić inscenizację, gdzie ścierają się różne gatunki sztuki. Mamy bowiem i tragifarsę, i komedię delTarte, i groteskę, i elementy klasycznej opery. Krakowskie przedstawienie (z interesującą scenografią Luigiego Scoglia) jest zatem wydarzeniem, tym bardziej że soliści stanęli na wysokości zadania. Mający ugruntowaną pozycję, poświadczaną licznymi występami na europejskich scenach, Wojciech Gierlach
(Król Treflowy) czy Wojciech Smiłek (Celio) potwierdzili wielkie umiejętności. Nie gorzej wypadł w roli Księcia Pavlo Tolstoy, który do świetnego wokalu dodał znakomite aktorstwo.

Tytuł oryginalny
Pomarańcze Prokofiewa

Źródło:
Materiał nadesłany

Przegląd nr 20/12/18-05-14

Autor:
Paweł Dybicz

Data:
13.05.2014

e-teatr·pl

14.05.2014

Pomarańcze w Krakowie

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Jakub Puchalski w Tygodniku Powszechnym.

Wreszcie można zobaczyć w Polsce jedną z najbardziej szalonych oper XX wieku.

Prawie stulecie - 93 lata - musiało czekać arcydzieło XX-wiecznej opery, by zaistnieć na polskiej scenie. I nie chodzi wcale o rzecz, która powoli zdobywała uznanie publiczności, posługiwała się hermetycznym językiem czy roztaczała niechętnie oglądane nastroje nihilistyczne. Mowa o z lekka absurdalnej bajce, igrającej konwencjami zabawie - "Miłości do trzech pomarańczy" Prokofiewa. Rzecz wymagająca ogromnej pracy, ale w odbiorze czysta rozkosz. Na odwagę zdobyła się Opera Krakowska. Było warto.

Dyrygent Tomasz Tokarczyk ogarnął złożoną całość i pokazał ją jako dzieło logiczne i spójne. Pewnie, że orkiestra nie była bezbłędna - nie mogło być inaczej, skoro Prokofiew nie dość, że zmusza do grania blachę, to jeszcze z uporem maniaka chce, by brzmiała nie tylko triumfalnym forte, ale i subtelnym piano. Chwała muzykom, że starali się temu zadaniu sprostać. Zaprezentowali się z jak najlepszej strony, swobodnie wyprzedzając np. orkiestrę Teatru Wielkiego - Opery Narodowej (męczenia "Święta wiosny" trudno zapomnieć). W Krakowie czuło się zaangażowanie, może wręcz radość z grania. Rzadkość. Staranna orkiestra i pomocny dyrygent to podstawa dla śpiewaków, którzy nie musieli walczyć o utrzymanie się w rytmie i wysokości dźwięku. Rozbłysnął komizm, w którym wyróżniły się postaci Fata Morgany i Księcia (Ewa Biegas i Pavlo Tolstoy). Do osiągnięć reżysera, Michała Znanieckiego, zaliczyć trzeba to, że poprowadził bohaterów zgodnie z warunkami śpiewaków - nie usiłował nawet z nader korpulentnego Truffaldina (Vladi-mir Voroshnin) zrobić błazna fikającego koziołki. Dostaliśmy cały katalog osobowości scenicznych.

Niewątpliwie obejrzeliśmy w Krakowie "Miłość do trzech pomarańczy" (śpiewaną nie po francusku, lecz po rosyjsku, co pasuje do tej muzyki o wiele lepiej), fantastyczną bajkę Gozziego, a nie jakieś wizje luźno zatrącające o temat. Stało się tak pomimo reżyserskiego pomysłu, aby akcję rozpocząć w domu starców. Pensjonariusze są awanturniczy,

rozwrzeszczani, złośliwi, no i wszyscy jeżdżą na wózkach, na których też wykonują tańce - pod względem okropności nie umywają się do nich najczarniejsi z bohaterów spektaklu. Chaos ostatnich scen jest już totalny. Ostatecznie jednak ów chaos broni bajkę Gozziego, Meyerholda i Prokofiewa. W samą porę.

Tytuł oryginalny

Pomarańcze w Krakowie

Autor:

Jakub Puchalski

Źródło:

Materiał nadesłany

Tygodnik Powszechny nr 19/11-05-14

Data:

14.05.2014

e-teatr·pl

21.05.2014

Lepka słodycz pomarańczy

"Miłość do trzech pomarańczy" w reż. Michała Znanieckiego w Operze Krakowskiej w Krakowie. Pisze Monika Partyk w Ruchu Muzycznym.

No i mamy! Polska prapremiera "Miłości do trzech pomarańczy" - najsłynniejszej i najlepszej opery Siergieja Prokofiewa - od 25 kwietnia 2014 roku jest już faktem. Jej reżyser, Michał Znaniecki, z tytułem tym pukał wcześniej do wielu teatralnych drzwi: od Barcelony po Warszawę. Bezowocnie. Udało się w Krakowie, który wszakże od dawna nie rozpieszczał nas nieco bardziej oryginalnym repertuarem. Udało się - par excellence. Prace rozpoczęto już dwa lata wcześniej - co nie powinno dziwić, bo to pozycja wyjątkowo wymagająca tak artystycznie, jak i logistycznie. Skompletowanie do obsady szesnastu solistów - w tym jedenastu niemal równorzędnych, a (przydałoby się) i pierwszorzędnych, w tym pięciu basów i trzech tenorów! - to nie pestka. Wydaje się, że w tym tkwi przyczyna rzadkiej wciąż obecności na scenach tego genialnego przecież utworu - znanego często tylko z przebojowego Marsza z II aktu, może jeszcze ze Scherza z aktu III.

"Miłość do trzech pomarańczy", której prapremiera odbyła się 30 grudnia 1921 roku w chicagowskiej Lyric Opera, była pierwszą wystawioną operą Prokofiewa - choć siódmą, z dwunastu, w jego dorobku. Libretto, w dużej części autorstwa kompozytora, powstało na kanwie baśni Carla Gozziego, a ściślej - jej rosyjskiej adaptacji Wsiewołoda Meyerholda. Gozzi - XVIII-wieczny dramatopisarz wenecki - wyśmiewał mieszczańskie dramaty Goldoniego i Ghiariego, przeciwstawiając im rodzimą tradycję commedii dll'arte. Meyerhold - reformator-wizjoner teatru rosyjskiego, potem sowieckiego - kpił z teatralnej sztampy. Sam Prokofiew zaś, parodysta z urodzenia, zwołał przed krzywe zwierciadło wszystkie najznamienitsze duchy operowego świata: od Mozarta, poprzez Musorgskiego, Czajkowskiego, Wagnera, Pucciniego, po Gershwina. Łącząc surrealistyczną farsę, groteskowy symbolizm, satyrę i parodię, stworzył Prokofiew dzieło wielopoziomowe, erudycyjne, prowokacyjne artystycznie i intelektualnie. Historia jest następująca: melancholiczno-hipochondryczny Książę, paradoksalnie - za sprawą czarodziejskiej klątwy skazującej go na dziwną miłość do trzech pomarańczy - przechodzi inicjację w dorosłość, pokonawszy dworskich intrygantów z apetytem na tron, ciemne moce z gargantuiczną Kucharką na czele oraz własne życiowe rozmemłanie. Jednakże ta urocza i dość absurdalna historia co rusz przerywana jest zażartą dysputą na temat kształtu współczesnego teatru, którą prowadzą - wzorem antycznego chóru - Tragicy, Komicy, Lirycy, Pustogłowi i Dziwacy. Prokofiew daje prymat tym ostatnim. A Znaniecki?

Ów najmłodszy w historii reżyser-debiutant w mediolańskiej La Scali, lubi zaskakiwać przenoszeniem utworów w odległe nieraz światy. Z różnym skutkiem. Z dotychczas przygotowanych dla Opery Krakowskiej tytułów, brodzący po zalanej scenie "Eugeniusz Oniegin" z roku 2010 (nagrodzony zresztą w Hiszpanii) przekonał mnie dużo bardziej niż "Don Giovanni" (2009) - ciekawie, ale dość sztucznie wszczepiony w filmową tkankę "Osiem i pół" Felliniego. W przypadku "Miłości do trzech pomarańczy" poszukiwanie wspólnego mianownika, który połączyłby jej rozliczne wątki i aspekty, wydało się reżyserowi szczególnie uzasadnione. Tym razem wybrał perspektywę polityczną: akcja przeniesiona zostaje do domu starców epoki stalinowskiej.

Kilkudziesięcioosobowy chór odśpiewujący (na szczęście po rosyjsku) swe kwestie z wózków inwalidzkich, od początku określa podstawowy ton inscenizacji: trochę absurdalny, trochę straszny i trochę śmieszny (pogodnego dystansu do ludzkich ograniczeń reżyser nauczył się, realizując od kilku lat artystyczne projekty angażujące ludzi wykluczonych: niepełnosprawnych, seniorów, więźniów). Sprytny i nośny jest reżyserski punkt wyjścia: pensjonariusze spierają się o wybór kanału telewizyjnego (jak o pryncypia artystyczne w oryginale) - nie dochodząc do porozumienia, decydują się na zabawę w teatr: siłami medycznego personelu i własnymi. Jednakże telewizor -główny rekwizyt spektaklu - nie znika. Przeciwnie, rozrósłszy się, niczym pomarańcze w III akcie, do rozmiarów całego okna scenicznego, pochłania wszystko, co będzie się dalej działo.

W ten sposób reżyser podkreśla sceniczną umowność i Brechtowski, a przecież również Prokofiewowski dystans. Nie sposób wymienić wszystkich "atrakcji" - by użyć terminu Meyerholda, którym Znaniecki wyraźnie się inspiruje - krakowskiej inscenizacji: dekonstrukcyjne zatarcie granicy między sceną, widownią a orkiestronem (na początku II aktu część chóru rozsiada się w najlepsze na widowni, innym razem ukrywa się w kanale udając orkiestrę, dyrygent zaś ocala butelką wody mineralnej życie Księżniczki). Są oryginalne kroniki radzieckie z telewizyjnego telebimu, striptiz (no, prawie) rozochoconej Kucharki, inwalidzkie bujane koniki, trumienka na smyczy, odwołania do klasyki (balet mozar-towskich Ptaszników), popkultury (Lot nad kukułczym gniazdem) i comedii deli'arie...

Jest tak wesoło i pstro, że ledwo zauważamy pionierów
w pomarańczowych chustach i ciężkich butach, wynoszących przy dźwiękach Scherza trupy Księżniczek. Aż do finału - bo pionierzy kiedyś przecież dorastają. U Znanieckiego zatem, wbrew oryginałowi, nie będzie happy endu - mimo wiwatów na cześć młodej książęcej pary. Wywrotowa Clarissa walnie (niczym Edek z mrożkowskiego "Tanga") królewską głową o ścianę, Fata Morgana wstrzyknie niesfornym głupiego Jasia, a Leander -zwoławszy zbrojnych towarzyszy - stanie u boku Farfarella-Stalina. Krajobraz po bitwie Księżniczka z pomocą Księcia wyczyszczą szmatą na długiej miotle. Kucharka z jej stalową chochlą, jak przewidział Lenin, będzie władać państwem radzieckim.

Czy reinterpretacja Znanieckiego jest nadużyciem? Nie, jeśli za klucz przyjmiemy biografię Prokofiewa i Meyerholda. Przypomnijmy: po powrocie z Ameryki kompozytor był systematycznie wyniszczany psychicznie i artystycznie, a historia złośliwie okradła go nawet ze śmierci (tego samego dnia bowiem cały świat opłakiwał odejście Ojca Narodów, Generalissimusa Stalina). Meyerholdowi, twórcy teatralnego Października, podziękowano jeszcze sowiciej: oskarżeniem o

szpiegostwo, torturą i karabinową kulą. A miłość - tak a propos tematu głównego? Małżeństwo Prokofiewa z hiszpańską śpiewaczką anulowano, wysyłając żonę kompozytora do łagrów; małżonkę Meyerholda zasztyletowano.

Za stronę muzyczną przedsięwzięcia odpowiadał w tym spektaklu Tomasz Tokarczyk. Z arcytrudnego zadania wywiązał się godnie, momentami nawet błyskotliwie. Niestety, wąski kanał krakowskiej Opery nie pomieścił całości orkiestry (część muzyków grała spod sceny) - co znacząco stłumiło i uczyniło dźwięk bardziej matowym. Nie mniej trudne zadanie mieli przed sobą śpiewacy. Premierowa publiczność z pewnością najbardziej oczekiwała dwóch liczących się na scenach europejskich basów: Wojtka Gierlacha (Król Treflowy) i występującego głównie we Francji Wojtka Śmiłka (Celio). Nie zawiodła się, choć i pozostali wykonawcy mogli bardzo mile zaskoczyć: Ewa Biegas (Fata Morgana) - w wyjątkowo dobrej formie wokalnej i aktorskiej, szlachetnie brzmiący tenor Pavlo Tolstoy (Książę) oraz nonszalancko wręcz zabawny Przemysław Firek (Kucharka). Dobrze wypadli: Iryna Zhytynska (Clarissa), Mariusz Godlewski (Leander), Bartłomiej Misiuda (Pantalone), Katarzyna Oleś-Blacha (Ninetta), Anna Bernacka (Smeraldina) i Michał Kutnik (Farfarello). O dziwo, największym rozczarowaniem okazał się nieprzekonujący ani śpiewem, ani grą Rosjanin Vladimir Voroshnin (Truffaldino) - jedyny wykonawca mający już doświadczenie z tym tytułem. Z drugiej obsady (26 kwietnia) na wyróżnienie zasłużyli: Volodymyr Pankiv (zaskakująco dobry Król Treflowy), Vasyl Grokholskyi (Książę), Małgorzata Ratajczak (Clarissa) i Janusz Ratajczak (Truffaldino). Chór, jak w rzadko której operze eksploatowany wokalnie i choreograficznie, stanął na wysokości zadania - w czym zasługa Zygmunta Magiery. Atutem inscenizacji była scenografia. Siermiężna - kiedy trzeba, feeryczna, dowcipna i z rozmachem - kiedy można, wraz z kostiumami samego Znanieckiego cieszyła oko, frapowała, dopowiadała sensy. Stroną ruchową - z ciekawym skutkiem - zajęła się Katarzyna Aleksander-Kmieć.

Pierwsza polska inscenizacja arcydzieła Prokofiewa to niekwestionowany sukces Opery Krakowskiej. Daleko odchodząca od oryginału, a jednak ani na chwilę nie kłócąca się z nim - o jakże specyficznej aurze. Jakiej? Przyrównam ją do rozdawanych w antrakcie cząstek pomarańczy: słodkich, lecz zlepiających palce.

Tytuł oryginalny
Lepka słodycz pomarańczy

Źródło:
Materiał nadesłany

Ruch Muzyczny nr 5

Autor:
Monika Partyk

Data:
21.05.2014